

oraz Wojskowe Służby Polek
87-100 Toruń, ul. Podmurna 93, tel. 0048 56 65 22 186
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl
NIP 956 16 25 127; REGON 870502736
KRS 00000 41692
Nr r-ku 82 1090 1506 0000 0000 5002 0244

MEMORIAŁ
General Marii Wittek



† 1993

SALSKA Wanda
z d. Jastrzębska

NSZ

(OP) Org. Polskie
KOWSp. powojenne
Więziówka pol.

4078/USK

IS ZAWARTOŚCI TECZKI —

4078/WSK

SALSKA Wanda

z d. Jastrzebska

I/1. Relacja —

I/2. Dokumenty (sensu stricte) dotyczące osoby relatora —

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓ K. 6, 9-9

III/1 — Materiały dotyczące rodziny relatora —

III/2 — Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. →

III/3 — Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4 — Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 — inne... —

IV. Korespondencja —

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓ 1

VI. Fotografie: —

II. Materiały uzupełniające relacje:

- Art. Ruty Czaplńskiej "Handa Salska..." w "Zawołac' po imieniu", t.I. red. B. Otrębowska, T. Dziel, s. 275-277.
Msp. Kserokopia, k.3, s. 1-3.
- Wspomnienie o Handzie Salskiej Ruty Czaplńskiej.
Msp/klp. z dn. 25.05.2000. oryg. k.3, s. 4-9.



Źródło: „Kawałek po imieniu”, T.I, red. Barbara Otwinowska, Teresa Deal, s. 275-277

Wanda Salska

z d. Jastrzębska

wyrok: 10 lat

Urodzona 22.12.1911 r. w Warszawie. Aresztowana w 1947 r., skazana przez WSR w Warszawie w 1948 r. na 10 lat więzienia. Zwolniona w 1955 r.

Wanda skończyła Gimnazjum im. Królowej Jadwigi, gdzie dyrektorką była przez długie lata jej ciotka, Justyna Jastrzębska. Potem podjęła studia na Wydziale Lekarskim UW. W roku 1938 uzyskała absolutorium, nie zdołała jednak do czasu wojny uzyskać dyplomu. Ojciec jej, dr Jastrzębski, był lekarzem bakteriologiem i miał własne laboratorium, w którym Wanda - jako kończąca medycynę studentka - pracowała pomagając ojcu. Pracę tę kontynuowała również w czasie okupacji. Jeszcze przed wojną była zaangażowana w pracy politycznej. Należała do Obozu Radykalno-Narodowego (ONR spod znaku ABC Rossmana). Była tam bardzo czynna i tam chyba też, ale nie jestem tego pewna, poznała swego późniejszego męża, Stanisława Salskiego. W czasie wojny urodziła dwie córki: Małgosię i Joasię.

W październiku 1943 r Stanisław został wysłany za granicę jako emisariusz NSZ i szef Wydziału Politycznego KG NSZ. Powrócił jednak, do lipca 1945 r. pełniąc funkcję Inspektora Obszaru Południe, a do połowy 1946 r. będąc komendantem Okręgu Śląskiego NSZ, pod ps. „Sokołowski”, „Szczęśniewicz”. W tym czasie ukrywał się i tylko z rzadka odwiedzał żonę i dzieci jako „wujek”. Okazało się, że Małgosia (starsza) orientowała się świetnie, że to nie żaden wujek, ale Tatuś, nigdy się z tym jednak nie zdradziła. Takie to było wojenne i powojenne pokolenie dzieci, najmłodszych konspiratorów świata.

Po skończeniu wojny Wanda była nadal zaangażowana politycznie w Organizacji Polskiej (OP) - instytucji nadrzędnej w stosunku do ONR, była sekretarką i łączniczką komendanta gł. NSZ i kierownika OP Stanisława Kasznicy. Potem aresztowanie, więzienie, wyrok. Stanisław zdołał zbiec za granicę, skąd wrócił dopiero w końcu lat siedemdziesiątych. Aresztowani natomiast byli, wraz z Wandą, jej brat, Andrzej Jastrzębski oraz kuzyn jej męża, Tadeusz Salski. Najcięższym bólem, jaki Wanda przeżyła (kryjąc to jednak przed koleżankami) była jej rozłąka z córeczkami. Wprawdzie dziewczynkami opiekowała się z wielkim oddaniem jej siostra, Dziusia Nowicka, to jednak utrata dzieciństwa córeczek, niemożliwość obserwowania ich rozwoju i uczestniczenia w nim była dla Wandy, jak i dla wszystkich matek w podobnej sytuacji nieodwracalną bolesną stratą. Tu i tak okoliczności były najlepsze z możliwych - dziewczynki były otoczone

serdeczną troską cioci i wychowane przez nią w kulcie nieobecnej Matki, tak że po jej wyjściu kontakt został szybko nawiązany. Ale tęsknoty matki ta świadomość nie zmniejszała. Wanda nie dawała jednak tego po sobie poznać. Była czynną uczestniczką naszego zbiorowego życia, łączyła w sobie jakąś pełną powagi dojrzałość (liczyliśmy się z jej zdaniem) z równoczesnym dużym poczuciem humoru i celnym, a nieraz nawet ciętym dowcipem.

Z Wandą można było nieskończenie rozmawiać. Przy różnych usposobieniach łączyły nas wspólne zainteresowania, wzajemne zaufanie. Rozumiałyśmy się. Wanda była starsza ode mnie o 7 lat i miała rozległy krąg znajomych ludzi. To było nieraz dużo ciekawsze od niejednej lektury (której zresztą na Mokotowie byliśmy całkowicie pozbawione). Wanda była ogólnie lubiana, miała dobry głos i często prosiłyśmy ją o śpiewanie. Jej przebojem - jaki pamiętam - była „Pensylwania”. Miała głos niski i sugestywny. Była zgrabna i przystojna; ale miała nieco wystające nos i brodę. Mówiła ze śmiechem, że na starość broda zetknie się z nosem i stanie się czarownicą. Jej humor nie pomijał bowiem własnej osoby. Razem uczyłyśmy się angielskiego. Ona zwykle zapisywała słówka na mydle, a ja ją przepytywałam

Wanda brała udział w sławnym „buncie”, w wyniku którego spadły na naszą celę wszystkie możliwe kary. Razem spędziłyśmy zatem - jako pierwsza piątka - czterdzieści osiem godzin w karcu. A potem znów jednym transportem (kannym) wywieźli nas do Fordonu. Po kwarantannie, gdy nas rozdzielano do małych cel, zdecydowałyśmy, że oczywiście będziemy, razem, ale w tej samej celi, co Maniuta Marynowska, bo bardzo nam zależało na angielskim, a Maniuta nie tylko świetnie władała tym i innymi językami, ale ponadto miała szczególny dar dydaktyczny. Tu - bez pióra i kawałka papieru - zdawał on najwyższy egzamin. I tak znalazłyśmy się razem z Maniutą, Haliną Sosnowską i jeszcze paru innymi babkami.

Wkrótce dostałyśmy do celi robotę - sweterki z angory na drutach. Ja byłam kompletna noga w tej dziedzinie, Maniuta także, ale obie z zapalem zabrałyśmy się do pracy pod kierunkiem Wandy. Ona była bardzo uzdolniona manualnie. Umiała mnóstwo rzeczy. I tutaj też dyrygowała naszymi poczynaniami - błędy, które robiłyśmy pobudzały nas wszystkie do śmiechu.

Gdzieś w marcu 1949 r. (w Fordonie byliśmy od 30 września 1948 r.) poszłyśmy do pracy w warsztacie. Robiło się tam jakieś koszyczki ze sznurka. Ciągłe były przestoje, wywołane brakiem uprzedzonego sznurka, trzeba było robotę markować. A my naprawdę chciałyśmy pracować - było to naszą psychiczną potrzebą po tylu miesiącach spędzonych beczynnie. Wanda wzięła wtedy sprawę w swoje ręce. Szybko sama nauczyła się przędzenia na kołowrotku i odtąd praca miała normalny tryb. Po kilku miesiącach przeniesiono nas do tzw. pracowni artystycznej. Tutaj Wandy zadaniem było malowanie laurek. Laurki te w Fordonie zamawiały oddziałowe i inni funk-

cjonariusze. Do mnie i Marysi Rusinek należała twórczość poetycka - każda laurka miała zawierać okolicznościowy wiersz, dostosowany do danej osoby. Ta twórczość budziła zachwyty naszych odbiorców, dla których nasze koncepty były zbyt cienkie, by mogli się na nie obrazić. W okresie karnawału robiliśmy też kotyliony, niemiłosiernie udziwnione.

[...]

Po powrocie z Inowrocławia dostałam się szczęśliwie do „Grajdołka”, czyli do pracowni przygotowującej patki wojskowe do haftowania. Wanda była w niej majstrową, rozdzielała pracę, dbała, żeby wszystkie miały zapisane wykonanie wysokiej normy, radziła sobie świetnie z dyrektorem, który miał dla niej dużo szacunku i bronił „Grajdołka” przed inwigilacją „specja” (był to dyrektor do spraw produkcji pracownicznej). Pracownia ta stanowiła szczególny azyl w całym więzieniu. Zawdzięczało się to autorytetowi i pomysłowości Wandy.

Wanda i Dzidzia Żelazowska wyszły razem na zwolnienie warunkowe w 1955 r. Było to zupełnie nieoczekiwane i nagłe. Wanda wróciła do swoich córek i siostry (brat też był już na wolności) i wkrótce po wyjściu podjęła pracę w służbie zdrowia. Nie miała jednak czasu i możliwości, by uzyskać dyplom lekarski, od którego tak ją niegdyś niewiele dzieliło. Później, po moim wyjściu, widywałyśmy się przez wiele lat, a nawet kiedyś przez parę miesięcy przemieszkaliśmy u niej na Berezyńskiej w czasie mego dłuższego pobytu w Warszawie. Czułam się jakąś częścią jej rodziny.

Wanda Salska zmarła 17.12.1993 r.

Ruta Czaplińska

11. Wanda Salska

Było to 2 marca 1948 r. Wtedy zobaczyłyśmy się po raz pierwszy. I od tego dnia do 2 marca 1950 r. byłyśmy nierozłączne. A od tego dnia, bo właśnie przenieśli mnie do sutereny w Fordonie, aż do marca 1955 r. - do mego powrotu z Inowrocławia - nigdy się nie spotkałyśmy. Nawet będąc w tym samym więzieniu. Ona na górze, a ja w suterenie. Ale 2 marca 1948 r. obchodziliśmy właśnie imieniny Heleny Sieradzkiej, gdy otworzyła się krata i weszły dwie „nowe”. Były to Wanda Salska i Dzidzia Żelazowska - obie ze sprawy Staszka Kasznicy. Obie z wyrokami po 10 lat. Rzuciły się do nich koleżanki, które znały je już z „dziesiątki”. Do Wandy rzuciła się Agata - Marysia Nachmatówna, z mojej sprawy. Siedziały dość długo razem na „jedenastce” i zaprzyjaźniły się.

Moja znajomość z Wandą szybko przerodziła się w prawdziwą przyjaźń. Stałyśmy się sobie bardzo bliskie. Poznałyśmy nasze rodziny, naszych przyjaciół, poznałyśmy różne etapy naszego życia. Wanda była studentką medycyny. Ojciec jej - doktor Jastrzębski był lekarzem - wenerologiem i miał własne laboratorium, w którym Wanda, jako kończąca już medycynę studentka - pracowała pomagając ojcu. Jeszcze przed wojną była zaangażowana w pracę polityczną. Należała do Obozu Radykalno-Narodowego (spod znaku ABC Rossmana). Była tam bardzo czynna i tam - ale nie jestem tego pewna - poznała swego późniejszego męża - Tadeusza Salskiego. W czasie wojny urodziła dwie córeczki: Małgosię i Joasię. Nie pamiętam już, w którym roku Tadeusz został wysłany za granicę, jako emisariusz organizacji. Przedtem jednak musiał się ukrywać i tylko od czasu do czasu odwiedzał żonę i dzieci jako „wujek”. Okazało się, że Małgosia orientowała się świetnie, że to nie żaden „wujek”, ale tatuś, ale nigdy się z tym nie zdradziła. Takie było pokolenie wojennych dzieci, najmłodszych konspiratorów świata. Po zakończeniu wojny Wanda była zaangażowana politycznie w Organizacji Polskiej (OP), która była nadrzędne w stosunku do ONR. Potem aresztowanie, więzienie, wyrok 10 lat. Dziewczynkami opiekowała się najmłodsza siostra Wandy - Dziusia Nowicka. Brat Wandy - Andrzej - oraz jej szwagier Stanisław Salski - byli również więźniami PRL-u. Z Wandą można było nieskończenie rozmawiać. Przy różnych bardzo usposobieniach łączyły nas wspólne zainteresowania,

wzajemne zaufania pozwalające nam powierzać sobie różne fakty i przeżycia. Wanda była starsza ode mnie o 7 lat i miała rozległy krąg znajomych ludzi. Opowieści o nich była nieraz o wiele ciekawsze od niejednej lektury - nota bene książek praktycznie nie miałyśmy na „ogólniaku”. Dopiero w Fordonie i to dopiero, gdy poszliśmy do pracy. Jednym ciekawym epizodem z życia Wandy była jej znajomość z Ossowieckim. Ojciec jej przyjaźnił się z Ossowieckim, a ona sam nazywał ją często „córeczka”. On też spowodował odnalezienie wyposażenia laboratorium ojca Wandy, wyniesionego przez złodziei z laboratorium przy ul. Górskiego. Ossowiecki wziął do ręki przedmiot, którego złodziej musiał dotykać i powiedział, że wszystko znajduje się w przechowalni dworca kolejowego, gdzieś w promieniu 30 km od Warszawy. Nie mogło kreślić dokładnie miejscowości, bo dworce były nowe i bardzo do siebie podobne. I wszystko się odnalazło, a nawet jeszcze futra jakieś pani, ukradzione wcześniej.

Wanda była ogólnie lubiana, miała dobry głos i często prosiłyśmy ją o śpiewanie. Jej popisowymi piosenkami była „Pensylwania” i jeszcze drugi przebój, ale go w tej chwili nie pamiętam. Miała głos niski i sugestywny. Była zgrabna i przystojna, ale miała wystające nos i brodę. Pamiętam jak ze śmiechem mówiła, że na starość ta jej broda zetknie się z nosem i będzie wówczas wyglądała jak istna czarownica. Miała, bowiem duże poczucie humoru. Razem uczyłyśmy się angielskiego. Ona zwykle zapisywała słówka na mydle, a ja ja przepytywałam.

Ale wracam do początku naszej znajomości. Tak się utarło, że nasze nowe koleżanki były na najbliższym niedzielnym podwieczorku, czczone jakąś piosenką. Tak też było w przypadku Dżidzi i Wandy. Piosenka powstała na ich cześć i była głównie dziełem Halszki Dunin, nadwornej naszej poetki, ale miała w niej także duży udział Agata. Piosenka była na melodię „Przyszedł do domu Franciszek Pestka”, taka dziadowska piosenka.

Salska z Zielazkiem przyszli do celi
jeszcze nie zdnieli kaloszy,
a już cwaniacy jem podrandzili
wałówkie i papierosy.

Lecz Salksa na to nie zważa wcale
I tylko patrzy gdzie Danka,
a ona na to: Odendź szantrapo,
coś mnie zgrandziła kochanka!

Bardzo się Wanda zdienierwowała,
ze tak przyjęli ją w mamrze,
bo jej braciszek kryminalista,
a i szwagirek jest tamże.

A to Zielazko tyż dobry numer,
choć niby cicha niewiasta,
wszystkiem rodzinkie po kątach stawia,
że pyknik i leukoplasta.

A że do dzisiaj tak dobrze składa,
że u nas są imieniny,
Więc prosim, byście wśród nas się czuły,
jak pośród własnej rodziny.

Wanda brała żywy udział w naszych różnych imprezach kulturalnych, no i oczywiście w sławnym buncie. Razem spędziłyśmy - jako pierwsza piątka - czterdzieści osiem godzin w „karcu”. A potem znów jednym transportem wywieźli nas do Fordonu. Na kwarantannie spałyśmy po dwie. I mimo, że ani trochę nie byłyśmy do siebie podobne, to oddziałowi często nas mylili. Na mnie wołali Salska, a na nią Czaplińska. Po kwarantannie, gdy nas rozdzielono do małych cel, zdecydowałyśmy, że będziemy oczywiście razem, ale w tej samej celi, co Maniuta Marynowska, bo bardzo nam zależało na angielskim. I tak znalazłyśmy się razem z Maniutą, Haliną Sosnowską i jeszcze paroma babkami. I znów spałyśmy na jednym łóżku, bo o jedno łóżko było za mało, a my byłyśmy najmłodsze z tego towarzystwa.

Mała cela ma to do siebie, że trudno się wyłączyć. Wszystko dzieje się w niej otwarcie. Nie można przecież szeptać sobie do ucha w obecności innych koleżanek odległych o parę centymetrów. Spałyśmy na waleta, a ze obydwie bardzo dobrze posługiwałyśmy się Mors,em, więc stukaliśmy sobie całymi godzinami w nogi. Co jakiś czas na przykład

wybuchaliśmy śmiechem wśród ciszy, bo przecież nikt naszego pukania nie mógł słyszeć, bo się je tylko czuło.

Pamiętam jak dostałyśmy do celi robotę - sweterki z angory na drutach. Ja byłam kompletna noga w tej dziedzinie, Maniuta także, ale obie z całym zapalem zabrałyśmy się do pracy pod kierunkiem Wandy. Ona była bardzo uzdolniona manualnie. Umiała robić mnóstwo rzeczy. I tutaj też dyrygowała naszymi poczynaniami. Zabawna była w tym wszystkim Maniuta. Pochłonięta pracą, nieraz nawet nie odpowiadała na nasze pytania o jakieś angielskie słówka. Tak bardzo była skupiona, co nie przeszkadzało temu, że robiła fatalne błędy w szalonym pośpiechu, chociaż nikt nas nie gonił, nie było też żadnej normy. Ale Maniuta tak bardzo chciała pracować, będąc z natury w ogóle bardzo czynną osobą. Co jakiś czas zwracała się do Wandy: - popatrz, mam takie dziwne oczko". Wanda na to: -ależ Maniuto, Ty w ogóle spuściłaś ileś tam oczek po kolei. -Nic podobnego, robiłam wszystko, jak kazałaś. Aż pewnego razu pokazuje Wandzie plecy sweterka, że znów coś nie wyszło. Wybuchnęliśmy wszystkie śmiechem, bo Maniuta zrobiła po jednej stronie dwa wykroje na pachy, jeden pod drugim, a druga była prostą linią. Śmiałyśmy się, że Maniuta zrobiła Picassa.

Gdzieś w marcu 1949 r. (w Fordonie byłyśmy od 30 września 1948 r.) poszłyśmy do pracy. Maniuta i Halina zostały w celi. Halina nigdy nie chciała pracować, a Maniuta o pracy marzyła. Ilekroć spotykałyśmy Maniutę na korytarzu, to szeptała wymownie, że w celi jest terror, biały terror uprawiany przez Halinę, która nie pozwala Maniucie zwracać się z prośbą o pracę. Myśmy z Wandą wylądowały w pracowni. Robiło się jakieś koszyczki ze sznurka. Były ciągle jakieś przestoje w naszej pracy, bo wciąż brakowało uprzedzonego sznurka i trzeba było tę robotę markować, splatając i rozplatając taśmy ze sznurka, z których potem zbijało się koszyczki. Wanda Wzięła wtedy sprawy w swoje ręce. Sama szybko nauczyła się przedzenia na kołowrotku i odtąd można było normalnie pracować. Po kilku miesiącach przeniesiono nas do tzw. celi artystycznej. Tutaj zadaniem Wandy było malowanie laurek. Laurki w Fordonie zamawiały oddziałowe i wyższe szarże. Były imieninowe, na ślub, na chrzciny i różne inne okoliczności, nie było tylko pogrzebowych. Musiało być na nich jak najwięcej kwiatów, najlepiej róż. Laurka im była bogatsza w

kwiaty, tym cenniejsza. Do mnie i Marysi Rusinek należała twórczość poetycka. Każda laurka musiała zawierać wierszyk okolicznościowy, dostosowany do danej osoby. To było straszne. Wypisywałyśmy sobie rymujące się słowa, które mogły nam się kiedyś przydać. Niemiłosiernie przerabiałśmy znane wiersze. Do tego idealnie nadawał się Broniewski. Ta twórczość budziła powszechny zachwyty naszych odbiorców. W okresie karnawału wszystkie, a było nas tam więcej, robiłyśmy kotyliony. Kotyliony fordońskie wyróżniały się tym, że nie były przypinane do boku, jak to sugeruje ich francuska nazwa, ale były wkładane na głowę. Robiło się najpierw opaski, albo płaskie denka z kartonu, a na nich umieszczano się najróżniejsze przedmioty wykonane, wykonane oczywiście z bibułek, kartonu i kolorowych papierów. Więc oczywiście kwiaty, ale także takie dziwne rzeczy, jak np. talerz z parówkami o widelcem, grzyby, budziki. Często jeszcze na tych opaskach umieszczaliśmy jakiś dwuwiersz, np. „nikt na ciebie już nie dybie, boś za stary jest mój grzybie”. W okresie naszej pracy artystycznej została otwarta świetlica. Kierowała nią pani Janina Złotnicka-Kurcewiczowa. I ona zaproponowała nam wystawienie (z materiałów świetlicowych) fragmentu sztuki Iwaszkiewicza „Maskarada”. Była to scena, w której Puszkina błaga cara o zezwolenie na wyjazd za granicę lub chociażby gdzieś na wieś. Po długich namysłach zdecydowałyśmy się na to, pod warunkiem dobrania obsady i że dekoracje będą dziełem Maryny Majgier, no i kostiumy także. Maryna dokonała cudów. Z więziennej kurtki i drelichowych spodni (nic nie tnąc) zrobiła dla Wandy - cara - znakomity mundur z akselbantami i błyszczącymi guzikami. Dla mnie - Puszkina - jakąś perukę z czarnej wełny, pelerynę z koca, która byłam spowita. To było znacznie mniej wymyślne. Znakomite było jednak wnętrze pałacu, draperie z koców, kominek, a nawet kandelabry z papieru. W tej scenerii odbywał się nasz dramatyczny dialog. Wanda była wspaniałym carem, umiała wykrzesać prawdziwy męski wdzięk. Wzbudziła ogólny zachwyty. Często idąc na spacerze słyszałyśmy szepty: - o idzie ta car i ta Puszkina. Miałyśmy w planie wystawienie dalszych części „Maskarady”, miałyśmy już nawet upatrzoną Natahalie - Krystynę Drecką. Planowałyśmy także wystawienie „Balladyny”, którą Wanda znała na pamięć. Miałam być Balladyną i umiałam już bardzo dużą część swojej roli, gdy nagle (znów 2 marca, ale 1950 r.)

zabrano mnie z pracy i dano do sutereny. Tak rozstałam się z Wandą na długie pięć lat. Po powrocie z Inowrocławia dostałam się szczęśliwie do „Grajdołka”, czyli do pracowni przygotowującej patki do haftowania. Wanda była tam majstrową. Rozdzielala nam pracę, dbała, żeby wszystkie miały odpowiednio wysokie normy. Wtedy za 110 % normy można było dodatkowo otrzymać ileś tam kiełbasy. Pracowałyśmy przez dwie zmiany, czyli 16 godzin, żeby nadażyć z robotą. Obiad i kolację jadło się wtedy w pracowni. Było nam bardzo dobrze. Ja mogłam wyrabiać wtedy bardzo dużą normę, więc po wykonaniu swojej zawsze robiłam coś dla koleżanek - cięłam tekturę, czy wycinałam wzorki, żeby one miały te minimum 110 %, a ja nie wyższą od nich. Wanda umiała sobie radzić świetnie z dyrektorem, który miał dla niej dużo szacunku i zawsze jej słuchał. A ja po Inowrocławiu - po ciągłym meldowaniu się pod oknem, staniu na baczność, oddawaniu „honorów” trzaskając drewniakami, etc. - byłam wciąż zaszokowana, gdy na pokorne pytanie: - Salska? Wanda beztrąsko odpowiadała: -czego tam?

Wanda i Dzidzia wyszły razem na zwolnienie warunkowe w 1955 r. Było to zupełnie nieoczekiwane i nagle. Wanda wróciła do swoich córek i siostry (brat był już na wolności) i wkrótce po wyjściu podjęła pracę w służbie zdrowia. Nie miała jednak czasu i możliwości, by uzyskać dyplom lekarski, od którego tak ją niewiele dzieliło. Później, po moim wyjściu, widywałyśmy się przez wiele lat, a nawet kiedyś przez parę miesięcy przemieszkałam u Niej na Derezyńskiej w czasie mego dłuższego pobytu w Warszawie. Czułam się jakąś częścią jej rodziny, Gorzej było z kontaktem korespondencyjnym. Ona była z zasady niepiśmienna. Ale ostatnio znów nawiązałyśmy bliższy kontakt, dzwoniłam do Niej i byłam u Niej. Ostatnio rozmawiałam z Nią w październiku (1993), czuła się źle (ciężka astma), ale nie spodziewałam się, że to będzie nasza ostatnia rozmowa. A właśnie w tych dniach bardzo intensywnie o Niej myślałam. Wiele ze spraw, o których mi mówiłaś, wando, uleciało z pamięci, ale na zawsze zostaniesz Ty i nasza przyjaźń.

*Smęci wspomnienie o przyjaźni: wliczenie
w moją publikację do Archiw. WSK Tom
Rluski
25 05 2000*

J. 4078/WSK

NSZ
OP, konsp.
posoj.
i in.

++

SALSKA Wanda

z d. Gastrębska

✓ Nazwiskowe karty informacyjne: 1.

i

T. 40781NSK

Stalska z d. Gąsienicka
Wanda

NSZ
orig. in.
po 1945r.

Ur. 22. XII. 1911 w Warszawie. Pełniła przed wojną karierę
do ONR, spotykała się z ABC Rossmanna. Po wojnie
w OP, była sekretarką i Technicznym Konsultantem gł.
NSZ, Armbourna 1947, w 1948 skazana na 10 lat
Fordon. Zwolniona 1955, zmarła 1993.

"Zawołac po imieniu" oprac. B. Otworowska
Miejsce, 1999 s. 47, 97, 165, 169, 275-77.
t. II s. 93, 342 (~~notabene~~)

MD.

B. Rojek 2010

ŚALSKA Wanda

